

dzieu, — uśmiechnął się Remberski, — tobie wolno każdego krytykować, ale ciebie dotknąć w niczem nie można. Czy ty nie miałeś żydowiny w rodzie, że jesteś tak obraźliwy.

— A bodajes w konia wlaź! gdybym miał jedną żytkę żydowską w sobie, wyprułbym i musiał byś zjeść.

— Wiecie, ja mam służbę, muszę iść, — wstał Milczak.

— Czekaj, pójdziemy wszyscy, moiście dzieju, niech tylko Marski skończy swój referat. Gotowe, — podał Marski bilet Romanowi, — może pan iść dziś lub jutro, wszystko jedno, bilet może się przydać, a czy będzie chleb z tej maki, to do mnie nie należy.

— Dziękuję paau, — skłonił się Roman, chowając bilet.

— Jeszcze jedną piwonie, — i idziemy, — zaproponował Remberski.

— Niema czasu, — wstał Marski

— „Morgen ist auch ein Tag“, — odezwał się Milczak, a jeśli pan otrzyma posadę, — płaci pan bombę.

— Bardzo chętnie.

— Dlaczego ma płacić? nachmurzył się Remberski, — żadna racja dopłacać do roboty. Idziemy.

Roman, nie tracąc istotnie czasu, udał się pod wskazany adres do Stokłosa, nie tyle z przekonania, że znajdzie posadę, jak raczej z poczucia obowiązku, ażeby niczego nie zaniedbać i nie mieć sobie nic do zarzucenia.

Tyle razy szedł pełen nadziei, że wreszcie otrzyma płatne miejsce, i zawsze się zawiodł. Rozmyślał z goryczą, że na nic przydała się protekcja wuja i osobiste jego starania się, wysłuchiwanie nauk i ostrzeżeń ludzi, obiecujących mu pracę. Wspominał radcę Kotyńskiego, dyrektora banku, chodzenie po sklepach, ogłaszanie w dzienniku. I zniechęcony powtarzał sobie na swe uspokojenie:

— Ostatni raz idę! — chociaż wiedział, że jeśli pokażą mu chociażby najstabszą nadzieję otrzymania posady, znów pójdzie próbować.

Na pierwszym piętrze otworzyła mu służąca i wprowadziła do gabinetu, ładnie, jakkolwiek po hotelowemu umeblowanego.

Usiadł przy bocznym stoliku i wziął w rękę jedną z leżących tam gazet. Po przez lekko uchylone drzwi był słuchaczem mimowolnej rozmowy małżeńskiej.

— Maryś, idź ty sama, spytaj się czego chce, nie znam go.

— To może lepiej odprawić, boś chory, odezwał się kobiecy głos.

— Nie, może być przecie ważny interes.

— Najważniejszy, ażebyś ty był zdrow, — powiedziała troskliwie.

— Zrób to dla mnie i idź, — nalegał, spytaj się i przyjdź mi powiedzieć.

Roman posłyszał szelest sukni i po chwili stanęła we drzwiach, średnich lat niewiasta, z miłą, łagodną twarzą, a widząc gościa, spytała z lekkim zmieszaniem:

— Pan do męża?... w interesie?

— Przychodzę z polecenia pana Marskiego — zaczął Roman i sięgnął po bilet.

— A od pana Marskiego? — rozjaśniła się, — proszę, siadaj pan, — zbliżyła się, — to nasz dobry przyjaciel, zna go pan? — usiadła na krześle.

— Zdaje się, że znam, skoro mam bilet, — zaśmiał się.

— A, prawda! — zaśmiała się głośno, — Dawno pan go widział?

— Przed chwilą.

— A, to pewnie na piwie z panem Remberskim i Kanickim. Podobno tam zawsze wesoło?

— Dosyć, i tam właśnie pan Marski dał mi bilet do męża pani.

— Niech pan chwilę zaczeka — wstała — zaraz poproszę pana, bo mąż cierpiący, leży w łóżku.

— Mogę przyjść kiedy indziej — pospieszył Roman, — niema znów nic tak pilnego.

— O nie, jeśli od pana Marskiego, to musi być rzecz ważna, — wyszła z gabinetu.

Po pewnym czasie otworzyła drzwi i zaprosiła Romana:

— Proszę, niech pan wejdzie, a za nieporządki, jakie pan obaczy, przepraszam.

Wszedł do obszernego, jasnego pokoju z dwoma łózkami. Na jednym z nich pod atlasową niebieską kołdrą, na śnieżnej białości poduszkach rysowała się połówka, dziwnie pomarszczona twarz blondyna około czterdziestu lat, z wąsami sumiastymi.

Wyciągnął do Romana rękę zylastą, chudą, ozdobioną pierścieniem, mówiąc:

— Przepraszam pana, że w łóżku przyjmuję, ale chory jestem. Siadaj pan proszę, może papierosa. Maryś, podaj.

— Dziękuję panu, — zapalił papierosa, — przychodzę tu od pana Marskiego, — podał bilet.

Stokłos szybko przeczytał, spojrzał raz i drugi raz na Romana i kładąc bilet na ubocznym stoliku, rzekł:

— Ten Marski zawsze w porę przyjdzie z pomocą. — uśmiechnął się, — i teraz właśnie, kiedy mi najbardziej potrzeba pomocnika w interesie, wyszukał pana... pan zna się na kinematografie?

— Nic a nic.

— To tak samo, jak i ja, — zaśmiał się, — ale bo też niewłaściwie postawiłem pytanie. Do kine-



— Prawda, i adresu nie dali i kazali panu zapłacić, to wyborne.

matografu potrzeba maszynisty i filmy, a idzie o zarząd, o interes. Gdzie pan był? co pan robił?

Roman w krótkich słowach opowiedział mu swoją przeszłość, a Stokłos zwrócił się do siedzącej żony:

— A co, Maryś? Marski wiedział, kogo mi przysłał? — i do Romana: — Trzeba mi pomocnika, zastępcy; ma pan jaką posadę?

— Żadnej.

— Hm... — potarł ręką nisko, pomarszczone czoło, — tem lepiej dla interesu. Dam panu z chwilą otwarcia budy sto pięćdziesiąt koron miesięcznie i pięć procent od czystego zysku.

— Jak wysoki może on być? — spytał Roman.

— To zależy. Przeciętnie będziemy dawali osiem razy na tydzień przedstawienia, gdyż w niedzielę dwa razy. Sala obliczona jest na trzystu widzów, czyli przy pełnej sali będzie brutto około trzydziestu koron, czyli tygodniowo, jeśli dobrze pójdzie, dochód brutto dwa tysiące czterysta, a miesięcznie około dziewięciu tysięcy. A po potrąceniu amortyzacji, czynszu, procentów i innych kosztów, według mego obliczenia zostawałoby na czysto jakieś trzy tysiące, czyli przy powodzeniu miałby pan drugie sto pięćdziesiąt koron. Czy pan przyjmuje?

— Naturalnie. Pańska propozycja jest bardzo dobra.

— A tak, o ile dostaniemy pozwolenie i potrafiemy zachęcić publiczność do bywania w naszym kinematografie. Zatem zgoda? — podał mu rękę.

— Zgoda.

— Umowę spiszemy później, jak wyzdrowieję, ale liczę na pana, że nie zrobisz mi zawodu i staniesz do roboty. Zajęcia zbyt wiele nie będziesz pan miał. Trochę korespondencji, prowadzenie ksiąg, ogólny dozór i obecność w czasie przedstawienia.

— Będę chętnie pracował, znudziło mi się przymusowe próżniactwo... a teraz co mam robić?

— Jak wspominałem, pozwolenia jeszcze nie mam, ale złożyłem podanie w dyrekcji policyi, będzie temu ze dwa tygodnie. Interesu trzeba przypilnować, pan to rozumie?

— Tak jest.

— Zatem w moim imieniu i jako mój wspólnik, pójdiesz pan do policyi, dowiesz się, kto jest referentem i czy podanie moje zwrócono na właściwą drogę.

— Dobrze.

— Gdyby pan miał przy tem jakieś koszta, naturalnie zwrócę, a o rezultacie da mi pan znać.

— To w porządku — skinął głową Roman — postaram się rzecz załatwić.

— Uprzedzam pana — mówił Stokłos — niech się pan nie zraża przeszkodami, bo to u nas, panie, we wszystkich dykasteryach panuje wszechwładnie szlendryan austriacki, a nasi galicyjscy biurokraci przejęli się nim na wskroś. Czy pan tutejszy?

— Wspominałem już, że jestem z Warszawy.

— O, to pan nie zna naszych panów urzędników i ich powolności. Opowiem panu fakt autentyczny. Mieszkałem wówczas na prowincyi i potrzebowałem adresu jednego ze znajomych w Krakowie. Piszę tedy kartę korespondencyjną do biura adresowego policyi... Maryś, daj nam wina, trudno o suchej gębie gadać, ty znasz już tę historię, — otóż, napisałem prosząc o adres. Czekam kilka dni, tydzień, dwa, już inną drogą wystawiłem się o adres znajomego, załatwiłem z nim interes... i dopiero po pięciu tygodniach odpowiada mi policya, że adres tego pana jest nieznany, i żąda korony za brak stempla na mojej karcie korespondencyjnej. W ten sposób załatwia się biurokratycznie interesa, rozumiesz pan? — śmiał się.

— Prawda, i adresu nie dali i kazali panu zapłacić, to wyborne!

Żona wniosła wino, pili, a Stokłos zadowolony z nowego pomocnika, opowiadał zabawne anegdoty o biurokracyi.

— W razie, gdyby pan trafił na przeszkodę poważną, nie stawaj pan okoniem, — mówił Stokłos, — znajdzie się droga, postaram się o protekcję, a ona prostuje u nas najbardziej karkołomne ścieżki.

— Pan kawaler? — spytała pani.

— Tak jest.

— Czy należy pan do klubu nieprzejednanych wrogów małżeństwa, jak Marski? — uśmiechnęła się.

— Tak dalece nie, i nie zarzekam się wcale.

— To bardzo dobrze. Jak się bliżej poznamy, muszę pana wyswatać. To wstyd, ażeby taki młody człowiek był bez żony.

— Swatać łatwo — uśmiechnął się Roman, — ale trafić na swoją, bardzo trudno.

— Masz pan słuszość, nie daj się pan — śmiał się Stokłos — moja żona ma pasyę swatania.

— Proszę pana, co w tem jest złego? — broniła się — każdy z was bez żony marnieje, lampartuje się, traci zdrowie i pieniądze, czy nie jest to obowiązkiem uczciwości zapobiegać temu?

— Niechże pani panny swata, nie nas, — zaśmiał się Romao.

— Ach, panie, trudno zmusić dziewczynę, kiedy chłopiec nie chce. Wpierw on, później ona, taki porządek.

Porozmawiawszy jeszcze chwilę, opuścił Roman Stokłosa, obiecawszy przyjść, skoro dowie się czegoś bliższego o kinematografie.

(Ciąg dalszy nastąpi).